

MYŚL WOLNA

Organ Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich

№ 6 (26).

Czerwiec 1924 r.

Rok III.

*„Kto nie czyni jak myśli,
myśli w sposób niedoskonały“.*

M. Guyau: Moralność bez zobowiązań i sankcji.

TREŚĆ: J. Landau: Odpusty. J. Baudouin de Courtenay: Jeszcze o militarystyce. Sprawozdanie z Wiecu Protestacyjnego. W. Kowalczyk: Próba definicji. M. Lubecki: Z bibliografji. Wnioski i rezolucje II Zjazdu Kraj. S. W. P. M. T. L.: List pasterski biskupów czeskich. Ze spraw bieżących.

Odpusty.

Przeszła ciężka zima. Niedługo już zabrzmiały w kościołach, klasztorach i różnych świętych miejscach dzwony, wzywające maluczkich a pobożnych do zgłaszania się po rozgrzeszenie. I pociągną tłumy rozmodlonych pielgrzymów, przez upały i skwary, przez kurz dróg publicznych i ścisk w wagonach, przez pragnienie i umęczenie — do źródeł, zmywających grzechy, do figur cudownych, leczących wszelkie choroby, do ludzi wreszcie, mających moc udzielania odpustów na tamtym świecie.

I, jak dotychczas nie pomagały, tak i teraz nie pomogą żadne przekonywające słowa, żadne dowody rozumowe—ciemny tłum pójdzie wielkimi gromadami na lep obietnic, któremi tak szczerze szafują ci, którym Pan Bóg dał jakoby prawo odpuszczania grzechów i zbawiania grzeszników od kar czyścicowych w części lub w całości. I nie zbraknie tych tłumów, dopóki promienie wiedzy i myśli nie przenikną gęstych mroków, w których chciwa władzy i bogactw organizacja rzymska usilnie trzyma swoje wierne owieczki.

Warto też przypomnieć sobie, jak powstała i w jaki sposób utrzymuje się w kościele rzymskim wiara w odpusty.

Jeszcze biblijni prawodawcy, usiłując zmiekczyć pierwotne dzikie prawo odwetu: „oko za oko, ząb za ząb”, określali w niektórych wypadkach możliwość wypłacania wzamian poszkodowanemu pewnej sumy pieniężnej, za zgodą tegoż, lub kapłanów czy sędziów. Chrystus nakazywał zupełne przebaczenie win, przeciwstawiając uczuciu zemsty—uczucie miłości. Pierwsze gminy chrześcijańskie ściśle wykonywały te wskazówki, pozostawiając Panu osądzanie i karanie grzeszników.

Gdy wszakże kościół z ukrywającej się w podziemiach garści ekstatycznych filozofów przedzierzgnął się w organizację, dążącą do opanowania całego świata, te proste wskazania przestały wystarczać. Wprawdzie nie można już było wrócić do biblijnego wylupywania oczu i wybijania zębów, ale wymiar kary powoli wyjmowano ze zbyt łagodnych rąk Jezusa, a oddawano w twardsze i mocniejsze dłonie jego zastępców, biskupów i papieży.

Wzrost władzy papieskiej w Europie wpłynął też na zmianę tych ustaw. Starożytni germanowie wnieśli do rzymskiego chrześcijaństwa swoje znów prawne pojęcia okupu, t. j. wypłacania ściśle oznaczonego odszkodowania pieniężnego za przestępstwo, t. zw. „Wergeld”, i kościół, ujawszy te sprawy, usuwał powoli pojęcie „zadośćuczynienia” przez modlitwy, posty, jałmużny, dobre czyny, zastępując je daleko prostszym, a bardziej dochodowym obliczeniem pieniężnym; naturalnie—grzywnę pobierał już nie poszkodowany, a rozgrzeszający, t. j. ksiądz.

W ten sposób po pewnym czasie ustanowił się normalny cennik na odpuszczanie grzechów.

Gdy już dostatecznie utarł się pogląd, że papież ma prawo udzielania odpustów (*indulgentiae*) i może to prawo przekazywać biskupom i zwykłym księżom, wtedy znalazł się już człowiek, który zwyczaj ten potrafił uzasadnić teoretycznie. Człowiekiem tym był Aleksander z Hales (klasztor przy mieście Gloucester, w Anglii).

Ten wielki scholastyk, ten „doctor irrefragabilis”, ten mądry franciszkanin żyjący w XIII wieku (zmarł w roku 1245) potrafił w niezmiernie dowcipny sposób wytłumaczyć wszelkie obowiązujące wtedy dogmaty kościelne, a prócz tego stworzył słynną teorię „Skarbu łask” dla kościoła. Teoria ta polegała, ogólnie biorąc, na wyliczeniu, że Chrystus nie miał przecież potrzeby przelewać tyle krwi dla zbawienia świata: do tego celu wystarczyła jedna kropla jego świętej krwi. Pozostała więc ilość przelanej krwi stanowi „zapas”, to jest — niewyczerpany skarb łask, z którego pod pewnymi warunkami mogą korzystać następane pokolenia, gdy się zmażą grzechami. Ale i ten „zapas”

mógłby się przecież kiedyś wyczerpać, wobec wielkiej grzeszności ludzi. Na szczęście jednak są jeszcze ludzie święci, którzy spełniają więcej czynów zbożnych, niż to jest potrzebne dla zbawienia ich jednej duszy. Tę oto „nadwyżkę” znów przelewa się do „Skarbu łask”, który w ten sposób pozostaje zawsze pełny.

Któż jednak ma prawo szafować temi dobrami? Przecież nie każdy człowiek? Rzecz prosta, że nie! Tym szafarzem łask boskich może być tylko zastępca Boga na ziemi, a więc papież i jego pełnomocnicy.

A że tymczasem, jak już mówiliśmy, przyjął się zwyczaj kupowania odpustów za pieniądze, co oburzało niejednego światlejszego człowieka, zarówno wśród osób cywilnych, jak i wśród księży, teoria ta przyszła w samą porę, by opornym dowieść, że skrupuły ich są zupełnie nie na miejscu, i że zamiana łaski krwi Chrystusowej na brzęczącą monetę jest całkowicie usprawiedliwiona.

Chyba nikt nie wątpi, że prawo „zupełnego odpustu” (*indulgentiae plenariae*) zachowali papieże tylko dla siebie, pozwalając biskupom dawać jedynie odpusty częściowe. Zastrzegł to sobie jeszcze papież Innocenty III w 1215 roku, a Bonifacy VIII w roku 1300 ogłosił pierwszy zupełny odpust w roku jubileuszowym, który miał się powtarzać co 100 lat. Gdy wszakże okazało się, że ten odpust, połączony dla wiernych z podróżą do Rzymu i złożeniem tam odpowiedniej ofiary, dał papieżowi kolosalne dochody, następnii papieże skrócili ten termin do lat 50, a później do lat 25.

Typowym przykładem ostatecznego rozwydrzenia w handlu odpustami był przesławnej pamięci dominikanin Jan Tetzel, który przez 15 lat prowadził ten interes hurtem i detailicznie. Nawet przestępstwo małżeńskie, którego się dopuścił i za które został skazany na śmierć, nie przeszkodziło mu w interesach. Od śmierci uratował go arcybiskup Albrecht, a odpust za swój grzech kupił sobie w Rzymie (podług taksy!) i nie tylko nie utracił honoru, ale nawet został mianowany „apostolskim komisarzem”. Interes świetnie prosperował w dalszym ciągu, aż Luter wystąpił w 1517 r. ze swemi tezami przeciw kościołowi rzymskiemu. W uznaniu zasług dla sprawy kościoła Chrystusowego został Tetzel w 1518 roku mianowany jeszcze doktorem teologii we Frankfurcie nad Odrą, a w roku następnym Bóg powołał go do swojej chwały razem ze wszystkimi indulgencjami.

Mylił by się, ktoby sądził, że oburzenie i protest całej północnej Europy przeciw świętokradztwu odpustowemu, ujawniające się w reformacji Lutera, Kalwina i innych protestantów, otworzyło Rzymowi oczy na niebezpieczeństwo dalszego ciągnięcia ryzykownej gry: chęć zysku okazała się silniejsza, niż

troska o całość kościoła: sobór Trydencki wyklina każdego, ktoby śmiał przeczyć, że kościół posiada prawo sądu nad grzechami, a więc i władzę odpuszczania ich. Tylko z konieczności zarzuca się otwarty handel indulgencjami, na który już i wierni zbyt sarkali, a wprowadza się „dobrowolną ofiarę” za odpuszczenie grzechów. Aby jednak tak zmieniona forma odpustów nie uszczupliła kościołowi dochodów, wprowadzono dwie innowacje — niezmiernie ciekawe.

Po pierwsze — uznano, że ogień czyścowy należy do kar doczesnych, albowiem nie jest wieczny. Wobec tego kościół ma prawo, niezależnie od rozgrzeszenia tu na ziemi, jeszcze wpływać na skrócenie terminu kary w czyścju.

Po drugie — ponieważ nie można już było fabrykować odpustów w Rzymie na eksport, a nie każdy miał czas i pieniądze, by po odpust jechać do Rzymu, zaczęto więc nadawać przywileje odpustowe różnym miejscowościom, rozsianym po ziemi chrześcijańskiej, kościołom, klasztorom, specjalnym ołtarzom i specjalnym świętym.

Tak oto powstają ogniska, ściągające pielgrzymów z pobliskich okolic, jak Lourdes, Częstochowa, Kalwaria, a później i drobne kościółki wiejskie co pewien czas otrzymują przywilej dla zasilenia kasy.

A dzieje się to dzisiaj tak: ogłasza się publicznie, że kto stawi się w dniu takim a takim w pewnej miejscowości, dajmy na to — w klasztorze, będzie obecny na mszy, będzie się spowiadał i przystąpi do komunji, ten nie tylko otrzyma rozgrzeszenie, lecz i odpust 30, 50 albo 100-dniowy z męki czyścowej. A ponieważ każdy człęczyna ma dość grzechów na sumieniu, więc korzysta skwapliwie ze sposobności, aby ulżyć swojej doli po śmierci. Cóż bo tam znaczy te parę franków, dolarów czy złotych w porównaniu ze skróceniem kary ognia czyścowego, tak okropnie malowanej przez księdza?

Interes jest wcale niezły: zamiast żałować za grzechy, umartwiać się, zwracać skradzione, przepraszać pokrzywdzonego i t. d. — wystarczy udać się na wskazane miejsce, spełnić przepisy modlitewne, zabawić się przy sposobności, podpisać sobie nienajgorzej,—a rezultat tensam, albo i lepszy: bo w pierwszym przypadku człowiek nawet nie wie, jak tam Pan Bóg przyjmie jego kajanie się, w drugim zaś — rzecz pewna jak amen w pacierzu: rozgrzeszenie i kilka miesięcy odpustu po śmierci. A jak człowiek ma trochę czasu i pieniędzy, i odwiedza po kilka miejsc odpustowych w ciągu roku, to sobie uciula taki zapas tych odpustów, że i sam pójdzie prosto do nieba i jeszcze resztą obdzieli te biedne duszyczki, co się wędzą w ogniu czyścowym, bo nie miały możliwości za życia chodzić po odpustach.

Dla zachęcenia pobożnego ludu do odwiedzania świętych miejsc i dla ściągnięcia większych mas, urządzają księża i mnisi różne „atrakcje” w rodzaju przedstawień, kinematografów (w Lourdes odbywają się nadzwyczajnie pomysłowe pokazy kinowe); ściągają też przekupnie, którzy płacą klasztorowi grube podatki za prawo ustawiania kramów pod jego murami; są i karuzele, i muzyka, i potańczyć można, i zabawić się w najrozmaitszy sposób.

Zagranicą podobne odpusty urządzone są z dużym komfortem dla pielgrzymów, są hotele i pensjonaty, nie ustępujące pierwszorzędnym kurortom. Ale w naszej Polsce ludziska mniej o to dbają: stłoczy się parę tysięcy osób, brud, niechlujstwo, robactwo, śpi się pokotem na ziemi, mężczyźni razem z kobietami i z dziećmi — sceny wręcz obrzydliwe. W zeszłym roku niektóre pisma ludowe opisywały widoki z odpustu w Kalwarji tak okropne, że włosy stawały na głowie.

Alco to wszystko znaczy w porównaniu z dobrodziejstwem odpustu? Drobne przykrości życia doczesnego, a zato bezpośrednia podróż do nieba — po śmierci!

Oto są przyczyny wprowadzenia do kościoła rzymskiego instytucji odpustów i uporczywego jej bronienia przez kler, pomimo żywego oburzenia tylu światlejszych ludzi: tu chodzi o dochody, o kieszenie całej masy księży i mnichów, żyjących z ludzkiej ciemnoty. Chodzi też i o władzę nad temi tłumami, które w tym otoczeniu łatwiej poddają się zbiorowej psychozie i stają się powolnymi narzędziami w rękach swoich duszpastry.

I nie przestaną te tłumy pielgrzymować do miejsc świętych i zdobywać odpustów za „dobrowolne ofiary”, dopóki oświata w nie nie przeniknie i nie nauczy ich, że każdy człowiek sam w sobie nosi swoje niebo i swoje piekło, i że samo życie jest ogniem czyścącym, przepalającym duszę jego cierpieniem i bólem.

A gdy człowiek to zrozumie, nie pójdzie do księdza po odpust, bo i w odpusty nie będzie wierzył, i ksiądz mu już nie będzie potrzebny...

Józef Landau

Jeszcze o militarystyce a wolnomyślicielstwie i bezwyznaniowości.

II.

Przed wojną r. 1914 prawiono wszędzie o wojnie zapobiegawczej, a więc niby obronnej. Ażeby przeciwnicy nie napadli, należało samemu napaść. W r. zaś 1914 każdy ze zbrodniarzy wszechświatowych, wtrącających ludzką w otchłań bezgranicznej nędzy i nieszczęść bez liku, udawał niewinnego baranka, który się musi bronić, ażeby nie być znieczeka zaskoczonym.

Tłumy bezwolne i bałamucone dały się bez żadnego protestu prowadzić na rzeź, ażeby zabijać i samym ginać.

Wszystkie potęgi moralne, od których można było oczekiwać przeciwdziałania rzezi i zniszczeniu, zawiodły i z krete sem zbankrutowały.

Urzędowi głosiciele „miłości bliźniego“, duchowni różnych wyznań, zapomnieli o wszelkich przykazaniach i błogosławili obustronnie umundurowanych zabójców, wleczonych pod grozą rozstrzelania do bluźnierczej zabwydnej przysięgi.

Przedstawiciele międzynarodowej solidarności klas pracujących, socjaliści niemieccy, francuscy i inni, zapowiadając czupurnie, że pod hasłem „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się“ uniemożliwią wojnę, jak tylko usłyszeli „burżuazyjną“ komendę, „burżuazyjne“ szczucie i nawoływanie do „bratobójczej walki“, upodobnili się do psów, szczuty na zwierzyne, stulili uszy, podwinęli pod siebie ogony, stanęli na tylnych łapkach i patrzyli pokornie w oczy feldfiebela i oficera.

Nareszcie zbankrutowała z krete sem nauka międzynarodowa. Jej apostołowie, wraz z całą ogłupiałą i spodłałą inteligencją, podszczuwali beczelnie tłumy oszalałe i posyłałi na rzeź niewolników militarysty, współdziałając w ten sposób spychaniu społeczeństw w otchłań nędzy, unieszczęśliwianiu milionów, fabrykowaniu wdów, sierot, kalek i nędzarzy.

W Rosji, kiedy, dzięki rozprężeniu i zrewoltowaniu armji w r. 1917, dalsze prowadzenie wojny stało się faktycznie niemożliwym, pomimo to, ażeby nie zdradzać Koalicji, usiłowano ze wszystkich sił kontynuować wojnę, wznawiano głupie i bezskuteczne ofensywy, przygotowując w ten sposób tryumf „bolszewizmu“. „Bolszewicy“ obiecywali pokój, ale go nie dali, bo dać go nie mogli; przeciwnie, rozpętałi jeszcze okrutniejszą wojnę, bo wojnę domową.

Za swą głupotę, za swe ohydne podszczywania i nawoływania do wojny, inteligencja rosyjska ponosi karę. To, co się z nią dzieje, jest zemstą obiektywną za krzywdę, jaką wyrządziła narodowi.

Coś podobnego czeka w przyszłości każde inne państwo, które lekkomyślnie rzuci się w wir nowej wojny. Poniewierane „mięso armatnie” zażąda bezlitosnego obrachunku.

A co wobec tego wszystkiego mieli i mają robić prawdziwi pacyfiści, wolnomyslnicy i bezwyznaniowcy? Niektórzy z nich próbowali protestować, ale zakneblowano im usta, a ich samych wtrącono do więzienia lub też pozbawiono kawałka chleba. Ich zaś „męczeństwo” przebrzmiało bez echa.

Gdy cały świat zamienił się w wielki dom obłąkanych, pojedyncze nawoływania do opamiętania się równały się głosowi wołającego na pustyni.

. . .

Zapytuję teraz p. Kobyleckiego:

Co, ze stanowiska bezwzględnie pacyfistycznego, miała robić Polska podczas najścia „bolszewików” w r. 1920? Czy miała założyć ręce, nie sprzeciwiać się złu i dać się ujarzmić?

Ależ wtedy trzeba by zrezygnować z wszelkiego wolnomyslnictwa i powiedzieć mu „adju Fruziu”. Zamiast wolnomyslnictwa otrzymalibyśmy różne dyktatury, walkę „rewolucji” z „kontrewolucją”, otrzymalibyśmy panowanie „myśli karnej i zorganizowanej”, t. j. zamiast życia i krzewienia myśli wolnej cmentarz i pustynię.

Dla człowieka z poczuciem godności osobistej jedynym wyjściem z tej niewoli i z tego pohańbienia myśli byłoby samobójstwo. Tylko że niewielu potrafiłoby w tych warunkach zachować poczucie godności osobistej.

A co w czasach dzisiejszych, w czasach ogólnego zdziczenia i upadku intelektu, w czasach pęczniejącej wszechnienawości, ma robić takie państwo jak Polska? Czy wobec pobrzękiwania szabelką i ciągłych gróźb, zwłaszcza od strony wschodniej, ma się zdać na łaskę boską i wyczekiwać spokojnie, dopóki nie zawitają do niej drodzy goście, niosący ze sobą „nowe słowo” „pożaru wszechświatowego”? Przecież „pożar wszechświatowy” toć to chyba nie pacylizm.

Otóż z dwojga złego, mając do wyboru niesprzeciwianie się złu wobec grożącej nam pożogi a palnięcie sobie w łeb lub przeniesienie się w inny sposób do wieczności, lepiej chyba wybrać to ostatnie.

Zdaje mi się, że nowa wojna, będąca udoskonalonem wydaniem ostatniej, równałaby się poniekąd końcowi świata, t. j.

świata ludzkiego. Pociągnęłaby ona za sobą ostateczną ruinę gospodarczą, ogólne zniszczenie i radykalny przewrót społeczny polegający na powrocie do stanu dzikości. Byłoby to najście barbarzyńców, podniesione do najwyższej potęgi, i ostateczne zatrucie barbarzyństwem skołowaciałych dusz ludzkich. Nie byłoby wtedy żadnego hamulca przeciw rozpętanym dzikim instynktom.

W „L'année terrible“ Wiktora Hugo jakiś inteligent stara się objaśnić podpalaczowi biblioteki, jaką to on okropną szkodę wyrządził ludzkości, niszcząc skarby kultury. Na to podpalacz bardzo słusznie odpowiada: „ja nie umiem czytać“.

Taką odpowiedź dadzą naiwnym roznieciciele „pożaru wszechświatowego“, wynikłego w skutek nowej wojny wszechświatowej.

Niedawno pewien wybitny mąż, niezmiernie zasłużony na polu wojskowości i wojowania, omawiając sentencję łacińską „*dum clamant arma, silent musae*“ (w zgiełku oręża milczą muzy, t. j. nauki i sztuki), oświadczył, że właściwie istnieje ścisły związek między wojną a nauką, że wojna sprzyja rozwojowi nauk. Bo proszę tylko pomyśleć: Podczas wojny lekarze chirurdzy mają niezmiernie bogatą praktykę, a inni lekarze mają możliwość leczenia cholery, tyfusu i innych chorób. Podczas wojny inżynierowie mają praktykę przy odbudowywaniu wysadzanych w powietrze mostów. Chemicy ćwiczą swą wynalazczość w produkowaniu gazów trujących, a mechanicy w udoskonalaniu aeroplanów, łodzi podwodnych i t. d., i t. d.

Człowieka, który głosił te uderzające odkrycia, trudno podejrzewać o cynizm. Była to raczej wyrafinowana ironja.

Nikt bowiem nie ośmielił się zaprzeczyć, że wszelka wojna, a tembardziej wojna olbrzymich rozmiarów, paraliżuje działalność naukową, niszczy materiały naukowe i warsztaty pracy naukowej, sprowadza śmierć osobników, poświęcających się badaniom naukowym...

Właśnie w imieniu nauki należy rzucić przekleństwo wojnie i uważać każdego, kto jej nie przeciwdziała, albo za nieopracytalnego szaleńca, albo też za świadomego zbrodniarza. Gdybyśmy mieli oczekiwać w przyszłości nowej wojny i w jej następstwie stoczenia się ludzkości w otchłań nędzy, ostatecznego oglupienia i zdziczenia, gdyby miał nas czekać zmierzch kultury, to lepiej niech już ginie, nie zostawiając po sobie śladów, cała ludzkość zbrodnicza i ogłupiała.

Tragedja ludzkości, tragedia dusz szlachejnych i współczujących cierpieniom ludzkim, polega między innymi na niemożliwości wcielania w życie wzniosłych zasad sprawiedliwości, oraz na konieczności ustępstw i kompromisów. Na ustępstwa i kompromisy musi się godzić każdy człowiek, nie pozbawiony zmysłu rzeczywistości.

Można się zżymać na choroby, trzęsienia ziemi, powodzie, pożary, oraz na wszelkie inne „klęski żywiołowe“, ale trzeba się z nimi pogodzić, jako z faktami, nie zaniedbując jednak zapobiegania im, przeciwdziałania i usuwania. Trzeba się również pogodzić z obłędem militarystycznym, z wszechnienawiścią, z właściwym wielu ludziom sadyzmem, t. j. żądzą rozkoszowania się cierpieniami umiłowanych bliźnich. Obok tego jednak niewolno stosować do tych zdobiących dusze ludzkie przymiotów zasady niesprzeciwiania się złu, ale powinno się dążyć do ich stopniowego usuwania za pomocą spokojnej i rozumnej propagandy.

Konieczność życiowa sprzeniewierzenia się zasadom, konieczność uznawania, że „*aprobo meliora, deteriora sequor*“ (pochwalam to co lepsze, a praktykuję to co gorsze), taka konieczność stanowi prawdziwą tragedję istnienia nie dla motłochu, nie dla gawiedzi, ale dla umysłów wyższych, obdarzonych wrażliwym sumieniem i wymagających zgody między myślą, między zasadą a czynem. Konsekwencją tego bywa często mimowolne praktykowanie zasady niesprzeciwiania się złu.

Wielu mężczyzn myślących i nie pozbawionych sumienia uznaje równouprawnienie płci i chce niby to szanować godność ludzką, a jednocześnie, ulegając popędowi zwierzęcym, bądź to uwodzi, bądź też korzysta z prostytucji, co chyba równa się poniewieraniu godności ludzkiej, własnej i cudzej.

O ile rozmaici rewolucjoniści nowocześni nie są pozbawieni sumienia, to ta okoliczność, że, głosząc pokój i wypowiadając wojnę wojnie, organizują armje i prowadzą wojny, oraz że do uszczęśliwiania ludzkości dążą przez okrucieństwa, ta okoliczność musi wywoływać w ich duszach tragiczną rozterkę. Zdarza się to oczywiście bardzo rzadko, bo znakomita większość zawodowych rewolucjonistów jest pozbawiona sumienia, a na cierpienia ludzkie nie tylko że patrzy obojętnie, ale nawet niemi się rozkoszuje.

Ale pacyfiści, t. j. prawdziwi przeciwnicy wojny, nie są rewolucjonistami i sadystami. Tragizm ich położenia może doprowadzać bardziej wrażliwe natury do rozpacz, z której jedynym wyjściem jest samobójstwo.

Kto jednak, pomimo dręczącej go tragicznej rozterki, chce żyć, nie usuwać się od świata i wcielać w życie swe ideały, mu-

si się ograniczyć do roli propagandy, uświadamiającego całą ohydę militarystyki i dążącego w ten sposób do powolnego usuwania tej plagi ludzkości.

Kogo zaś przymus militarystyczny bezpośrednio dotyka, a kto za nic w świecie nie chce się sprzeniewierzyć swym zasadom, ten niech idzie konsekwentnie do końca, i niech w ostateczności daje się rozstrzelać. A nawet chyba lepiej być rozstrzelanym przed wojną, aniżeli okaleczonym na wojnie.

Podobno męczeństwa chrześcijan doprowadziły do tryumfu chrześcijaństwa. Może męczeństwa pacyfistów przygotowują tryumf pacyfizmu.

Natomiast wypowiadać zbiorowo wojnę wojnie i proklamować rozbrojenie można tylko w takim razie, jeżeli nastąpi to za zgodą wszystkich państw i społeczeństw. Wysiłki jednego państwa nic tu nie pomogą i do niczego nie doprowadzą. Ktoś jednak musi zacząć.

Zakończę aforyzmem z „Myśli nieoportunistycznych“ (Kraków, 1898):

„Wobec fatalności wojny, wobec musu, pędzącego na rzeź całe stada ludzkie, szyderczo brzmi dodatek, spotykany na wszystkich prawie pomnikach, wznoszonych na polach bitew: „**polegli śmiercią bohaterską**“. Rozumiem bohatera, bądź to ginącego na krzyżu lub na stosie za swe przekonania, bądź też idącego śmiało na tortury i nie dającego inkwizycji wydusić z siebie zeznań kompromitujących; ale bohatera z musu, bohatera oszalałego i skutkiem wrzawy wojennej pozbawionego ludzkiej świadomości, bohatera pijanego krwią, bohatera mordującego i mordowanego — takiego bohatera uznać nie mogę i nigdy nie uznam“.

J. Baudouin de Courtenay.

Wiec protestacyjny.

Tłumy, które stanęły się na wezwanie Zarządu Stow. Wolnomyślicieli Polskich na wielki wiec w sali Tow. Hygienicznego, dn. 1 czerwca, dowiodły, że sprawa Gminy bezwyznaniowej przestała już być kwestją rozważań teoretyczno-filozoficznych, a stała się koniecznością życiową. Przebieg wiecu był poważny i głęboki, chociaż pod koniec postawienie zpoza prezydium rezolucji czysto politycznej wniosło pewne zamieszanie.

Wiec zaigł o godz. 11-ej rano mocnym, jędrnym przemówieniem (wydrukujemy je w całości w następnym numerze „Myśli Wolnej“) prezes S. W. P., prof. Jan Baudouin de Cour-

tenay, który zaprosił następnie na przewodniczącego prezesa Rady Tymczasowej Gminy bezwyznaniowej, prof. Romualda Minkiewicza. Ze swej strony przewodniczący zaprosił na asesora prof. Stan. A. Kempnera i dyr. Marjana Lubeckiego, a na sekretarza ob. Józefa Kobyłeckiego.

W zastępstwie nieobecnego radcy S. W. P., adw. Kazimierza Sterlinga, odczytał ob. Lubecki wyczerpujący memoriał, złożony do Trybunału Najwyższego, jako skarga na nieuzasadnioną odmowę zatwierdzenia statutu gminy bezwyznaniowej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Pierwsze przemówienie oficjalne wygłosił w imieniu Zarządu Głównego S. W. P. red. Józef Landau. Nawiązując do wywodów prawnych, wykazujących brak wszelkiej podstawy odmownej decyzji p. Ministra, mówca zastanawiał się, jakie przyczyny mogły rząd nasz natchnąć taką niechęcią do bezwyznaniowców, którzy przecież oficjalnie są uznani w dawnym zaborze austriackim i pruskim. Przyczyn tych, zdaniem mówcy, szukać należy w niezmiernym wpływie na nasze rządy kleru rzymsko-katolickiego, który obecnie, w przeddzień rozpraw o zawarciu konkordatu z Rzymem, usiłuje wywołać wrażenie, że ogromna większość obywateli państwa Polskiego należy do wyznania rzymskiego. Tymczasem, gdyby rząd, zgodnie z ścisłym brzmieniem konstytucji, zatwierdził czekające od paru lat na legalizację różne gminy wyznaniowe, oraz gminę bezwyznaniową, wtedy bezstronna rejestracja wykazałaby niechybnie, że rzymscy katolicy stanowią tylko około 40% ludności państwa, co by mocno wpłynęło na obniżenie „prestige'u” Rzymu. W dalszym ciągu ob. Landau zastrzegł się, że S. W. P. nie walczy bynajmniej o byt rozmaitych sekt chrześcijańskich, które wykazują częstokroć fanatyzm jeszcze większy, niż stare kościoły, i których dogmaty stoją przeważnie na tym samym gruncie, lecz staje w obronie wolności sumienia każdej jednostki, która powinna mieć bezwzględne prawo należenia do takiego ugrupowania wyznaniowego, jakie odpowiada jej poglądom, lub nienależenia do żadnej grupy, jeśli taka jest jej dobra wola. Na zakończenie ob. Landau odczytał dwie rezolucje, których dosłowny tekst podajemy poniżej, a burza oklasków, jakimi sala odpowiedziała, była najlepszym dowodem, że zebrani w pełni podtrzymują poglądy S. W. P.

W imieniu Koła Warszawskiego S. W. P. przemawia ob. Kobyłecki, protestując przeciw gwałtowi, jakiego dopuścił się rząd polski przez niezatwierdzenie statutu Gminy bezwyznaniowej.

W imieniu Tow. Uniwersytetu Ludowego zabrał głos ob. J. Hempel, stwierdzając, że przy zawarciu konkordatu kler rzymski, jako swój wkład, daje burżuazji poparcie w jej walce

z proletariatem. Z założenia tego, przyjętego przez zebranych szalonym aplauzem, wyprowadził mówca wniosek, że wobec tego koniecznym jest prowadzenie usilnej propagandy wśród szerokich mas robotniczych, celem uświadomienia ich, że religja jest narzędziem w rękach klas posiadających dla ujarzmania ludu pracującego. Na zakończenie odczytał ob. Hempel swój projekt rezolucji, która nosiła wszakże charakter czysto polityczny, wobec czego prezydium Wiecu postanowiło jej nie uznać. Rezolucja ta wywołała z jednej strony gorącą aprobatę, z drugiej zaś gwałtowne protesty.

Z kolei przemawiał przedstawiciel Tow. Uniwersytetu Robotniczego, ob. Garlicki, stwierdzając łączność dążeń oświatowo-wyzwoleńczych S. W. P. i T. U. R.; następnie zostaje odczytane oświadczenie „Wspólnoty Twórczości”, solidaryzującej się z celami S. W. P. Bardzo sympatycznie zgłosił swoją współpracę ob. Rakowski, przedstawiciel Wolnego Harcerstwa Polskiego.

Ob. Kozicki, w imieniu Klubu Ukraińskiego, gorąco oklaskiwany za swoją krótką lecz pełną treści mowę, wypowiedzianą po ukraińsku, przedstawił obecnym ucisk cerkwi prawosławnej przez kler katolicki na Kresach, i wyraził radość, że w Warszawie, stolicy Państwa, spotkał poważną grupę ludzi, walczących o prawa ludzkie. Do walki tej przyłączy się cały naród ukraiński.

Ob. Winter oświadczył w imieniu Koła Akademików S. W. P., że Koło to walczyć chce o nasze ideały nie tylko na terenie akademickim, lecz — wzorem dawnych akademików, którzy zostawili tradycję walki z przemocą i uciskiem — pragnie zbliżyć się z starszym społeczeństwem, głównie z proletariatem, z którym łączą je wspólne cele.

Ob. Kopel, w imieniu Partji Niezależnych Socjalistów, zgłasza swój akces do wspólnej walki o wyzwolenie duchowe.

Ob. Wrzesiński, ze związku b. więźniów politycznych, stwierdza, że kler pompuje z ludu swój dobrobyt. Protestuje też przeciw panoszeniu się reakcji, w walce z którą on i jego towarzysze wycierali wszystkie więzienia, wierząc, że niepodległa Polska da ludowi prawdziwą wolność.

Ob. Trylski wskazuje, że w b. Galicji i Poznańskiem istnieje prawny stan bezwyznaniowości i że żadna siła nie potrafi zmusić bezwyznaniowca, by się wpisał do jakiegokolwiek gminy wyznaniowej. Niema też żadnych podstaw do wzbraniania w jednej części państwa tego, co jest prawnie uznane w innych jego częściach.

Prawdziwy entuzjazm wzbudziło wystąpienie ob. Ołowacza, z „Wyzwolenia”, który prosił S. W. P. o przeniesienie terenu swej pracy na wieś, gdzie chłopi oddawna już burzą się

przeciw przemocy kleru rzymskiego, ale słabe uświadomienie i brak organizacji nie pozwalają im na wyzwolenie się zpod narzuconego im jarzma. Ze słów mówcy biła taka siła przekonania i taka wiara w zwycięstwo, że zelektryzował całą salę, która na apel jego odpowiedziała grzmotem oklasków.

Ostatnim mówcą był robotnik, ob. Skowronek, który przyłączył się do wezwania ob. Ołowacza, by pracę prowadzić głównie wśród ludu wiejskiego i roboczego, który tej pomocy od inteligencji oczekuje. Mówca zakończył silnym protestem przeciwko militaryzmowi.

Przewodniczący stwierdza, że rezolucje, przedstawione przez ob. Landau'a w imieniu Zarządu Głównego S. W. P. zostały przez zebranych przyjęte przez akklamację, i o godz. 2-jej p. p. zamyka wiec pożegnalnym słowem.

Jak już zaznaczyliśmy, naogół wiec przeszedł w nastroju poważnym i głębokim. Dywersję próbowało zrobić kilku młodzików (przeważnie w czapkach akademickich, niestety!), którzy manifestacyjnie opuścili zebranie podczas mowy ukraińskiej, dokumentując tym czynem, że ich słabe głowy nie mogą znieść myśli, że w Niepodległej Polsce ktoś ma prawo przemawiać nie po polsku! Biedni chłopcy!

Rezolucje, uchwalone przez Wiec.

Rezolucja ogólna.

Zebrani na Wiecu Protestacyjnym, zwołanym przez Stow. Wolnomysłicieli polskich w dniu 1 czerwca 1924 r. w Warszawie, w sali Tow. Hygienicznego — obywatele, należący do różnych ugrupowań politycznych i społecznych, lecz ożywieni jedną wolą stworzenia w Państwie Polskim warunków, któreby pozwalały każdej jednostce rozwijać swoje życie duchowe w kierunku, przez nią dobrowolnie obranym, bez żadnego nacisku zzewnątrz, stwierdzają, że:

1) zmuszanie obywateli, wbrew ich woli, do należenia do jakiejkolwiek gminy wyznaniowej jest aktem gwałtu, przeciwnym wyraźnemu brzmieniu konstytucji, gwarantującej wszystkim bez wyjątku wolność sumienia;

2) odmowa zatwierdzenia statutu Gminy bezwyznaniowej, zarówno jak i niezatwierdzenie gmin wyznaniowych róż-

nych sekt, które latami czekają bezskutecznie na legalizację, jest dowodem, że rządy nasze są pod przemożnym wpływem kleru kościołów panujących u nas, przedewszystkiem rzymsko-katolickiego i żydowskiego, w których interesie leży niedopuszczanie do tworzenia ognisk duchowych o wrogich im kierunkach;

3) dążeniem specjalnie kościoła rzymsko-katolickiego jest opanowanie siłą wszystkich dziedzin życia społecznego w Państwie Polskim i poddanie go pod kierunek obcego autokraty, dbającego o interesy swego zboru wyznaniowego, a obojętnego na dobro ludu polskiego;

4) ucisk kościelny najbardziej odczuwają szerokie masy ludowe, ogłupiane i wyzyskiwane przez samozwańcych opiekunów, w sutannach czy w kapotach, którym jakoby ich Bóg przekazał swoją władzę.

I wobec tego:

1) żądają oddzielenia kościoła od Państwa i szkoły i zupełnego uświecczenia życia społecznego, a więc — wprowadzenia cywilnych ślubów oraz metryk urodzenia i zejścia, wspólnych cmentarzy miejskich, zniesienia obowiązkowych wykładów religijnych w szkołach, przysięg wyznaniowych w sądach, wojsku, urzędach i t. d.;

2) żądają bezwzględnej swobody dla każdej jednostki należenia do takiej gminy wyznaniowej, jaką sobie wybierze, lub nienależenia do żadnej, jeśli to odpowiada jej przekonaniom;

3) żądają stanowczo, dopóki powyższe zmiany nie zostaną wprowadzone drogą ustawodawczą, natychmiastowego zatwierdzenia, na podstawie istniejącej konstytucji, ustawy Gminy bezwyznaniowej, oraz wszelkich gmin wyznaniowych;

4) i wzywają tych posłów sejmowych i senatorów, bez różnicy przynależności partyjnej, którzy godność ludzką i wolność ducha obywateli polskich cenią wyżej, niż interes własny rzymskiego kościoła, aby poparli powyższe żądania w ciałach prawodawczych.

Rezolucja bezwyznaniowców.

Zebrani na Wiecu Protestacyjnym, zwołanym przez Stow. Wolnomyślicieli Polskich w dniu 1 czerwca 1924 roku, w Warszawie, w sali Tow. Hygienicznego — obywatele, nie uznający żadnego z istniejących wyznań religijnych, stwierdzają z całym naciskiem, że wszelkie dogmaty wyznaniowe, głoszone przez kapłanów wszystkich grup religijnych, są im zupełnie obce i nie odpowiadają ich przekonaniom.

Dotychczasową hegemonję kościoła rzymsko-katolickiego nad Państwem Polskim uważają za nieszczęście dla Polski i wyteżą wszystkie siły, by te ujemne wpływy obcych potęg zniweczyć.

Jednocześnie oświadczają uroczyście, że występują ze wszystkich gmin wyznaniowych, do jakich policyjnie są wpisani, i przymusowy ten zapis uważają za fałszywy i nieodpowiadający rzeczywistości.

Wtrącanie się kleru do życia ich prywatnego, zarówno jak i do życia państwowego, uważają za uzurpację i gwałt, i bezwzględnie protestują przeciw narzucaniu młodzieży w szkołach publicznych pojęć wyznaniowych w imieniu określonego Boga, w którego istnienie w tej formie nie wierzą.

Bezwyznaniowcy uprzedzają rząd polski, że dalsze zmuszanie ich, lub ich dzieci, do wykonywania praktyk religijnych, które im są obce, często śmieszne, a niekiedy wręcz wstrętne, doprowadzić może do ostrych starć, za które całkowita odpowiedzialność spadnie na organy władzy, zbyt poddające się wpływowi międzynarodówek klerykalnych, i nie umiejące uszanować ani paragrafów obowiązującej ich konstytucji, ani poczucia godności wolnego obywatela polskiego.

Próba definicji.

Być może, że istotę Myśli Wolnej pojmuję jeszcze nie dostatecznie, lecz określam ją sobie w sposób następujący:

Człowiek rozpoczyna życie z narzuconym sposobem myślenia i szablonowem określeniem prawdy w formie różnych dogmatów. Z chwilą, gdy w człowieku budzi się świadomość zależności w sposobie jego myślenia i zachwieje się wiara w nieomylność narzuconych dogmatów, gdy zbudzi się pragnienie szukania nowych dróg do poznania prawdy—człowiek staje się wolnomyślicielem. Myśl Wolna, to niczem nie krępowane dążenie umysłu ludzkiego do szukania prawdy. Prawda, to rzeczywisty stan rzeczy bez względu, jak rozum ludzki pojęcie to określa. Wolnomyśliciel nie pyta o prawdę, lecz sam stara się ją poznać i szuka jej we wszystkich otaczających go zagadnieniach bytu, szuka jej również w samym sobie, prześwieśla samego siebie, by zbadać, czy jest człowiekiem wolnym od wszelkich niekonsekwencji z samym sobą. Pojęcie prawdy, określone przez inne umysły, uznaje lub odrzuca bez zewnętrznego nakazu, jedynie na podstawie własnej krytyki. Własnego pojęcia prawdy nie narzuca nikomu przemocą. Dla sposobu

swego myślenia żąda zupełnej swobody. Dla uzgodnienia myśli i czynu żąda zupełnej swobody czynu.

Czyn to widomy przejaw myśli; ujawnia się najbardziej w wzajemnych stosunkach ludzkich. Dzisiejszy układ stosunków ludzkich, oparty na dogmatycznych pojęciach epok minionych, nie jest wyrazem zadowolenia ogólnego. Przeżytki stanu niewolniczego są jeszcze zbyt silne i trzymają dotychczas na uwięzi, rwącego się do prawdy i szczęścia, ducha ludzkiego. Wszelka zależność utrzymana przemocą, czy to w dziedzinie ducha poszczególnej jednostki, czy w dziedzinie zagadnień społecznych, rodzi pojęcie krzywdy.

Dla usunięcia krzywdy musi istnieć swoboda myśli i czynu. Prawo i sprawiedliwość stać winny po stronie pokrzywdzonych. Gdzie niema zupełnej swobody myśli i czynu w imię dobra ogólnego, tam sprawiedliwość jest pojęciem względnym, zależnym od pewnych czynników dogmatycznych: martwej litery prawa i sumienia sędziów.

Myśl i czyn mają dotychczas nakreśloną granicę, której w imię przeżytków przekraczać nie wolno.

Wolnomysłiciel żąda swobody nie dla narzucania swej władzy innym, nie dla dogadzania niskim popędom, zatracającym godność człowieka i spychającym go do roli zwierzęcia, nie dla sztucznego urabiania cech indywidualnych na jedną miarę nadczłowieczeństwa, lecz dla samej swobody, jaka mu się prawem należy, dla wydobycia z człowieka jego rzeczywistej wartości, dla budzenia uspiętej świadomości w człowieku-niewolniku, który nie myśli własną myślą, dla uproszczenia stosunków ludzkich przez jednakowe prawo zaspakajania swych potrzeb duchowych i materialnych.

Myśl Wolna nie stawia gotowego wzoru, określającego cel człowieka, żąda tylko, by człowiek w stosunku do siebie był rzeczywistością nie zaś ofiarą własnej lub cudzej mistyfikacji,— w stosunku do społeczeństwa podlegał jednakowym prawom i obowiązkom t. j. był wolnym i uznawał wolność innych. Być wolnym, znaczy wyzbyć się wszelkich przesądów i uprzywilejowanych uroszczeń, według których fałszywie ocenia się rzeczywistą wartość człowieka, ogranicza jego prawa i stwarza źródło nienawiści.

Myśl Wolna nie stawia gotowego wzoru idei dla całej ludzkości, gdyż byłby to nowy sposób ograniczania swobody i rzeczywistych dążeń do celu, jaki się sam wyłoni; Myśl Wolna nie stwarza zatem władzy w dziedzinie, w której wszelka władza moc swoją traci.

Wszelka idea, uzależniająca od siebie ducha ludzkiego w imię dogmatów, jest źródłem niezadowolenia.

Reprezentantami władzy w dziedzinie ducha są kościoły wszelkich wyznań. Człowiek, ulegający władzy kościelnej z własnej woli, nie jest wolnomyślicielem. Kościoły, jako niezbędna potrzeba dla tych, którzy sami sobą władać nie mogą, winny posiadać charakter prywatnych instytucji wychowawczych i oddzielone muszą być od władzy świeckiej.

Dla wolnomyśliciela, który światopogląd swój opiera na zdobyczach wiedzy a pojęcia etyczne na usunięciu krzywdy wzajemnej — kuratela duchowa w formie władzy kościelnej jest zupełnie zbyteczna i wszelki przymus należenia do któregośkolwiek wyznania uważać musi za gwałt ze strony władzy świeckiej i kościelnej.

Przedstawiciele wszelkich kościołów, którzy nadużywają religii dla celów sprzecznych z zasadami religii lub dla podtrzymania swej władzy despotycznej, jak również zwolennicy wcielania wszelkich idei w życie za pomocą gwałtu, uważani być muszą jako objawy zła społecznego, i zadaniem Myśli Wolnej jest objawy te zwalczać.

Każda religia lub idea, których celem jest doskonalenie się człowieka i życia społecznego, każda myśl, która szuka prawdy, by uwolnić człowieka od fałszywych urojeń i przesądów — uważana być musi jako objaw dobra i ma bezwzględne prawo na równi z Myślą Wolną korzystać z nieograniczonej swobody.

Władysław Kowalczyk.

Z bibliografii.

Andrzej Niemojewski: „Biblia a gwiazdy”. — Warszawa, 1924, str. 124. Ukazało się niedawno dziełko Andrzeja Niemojewskiego pod powyższym tytułem, — wydobyte z teki pośmiertnej autora i wydane nakładem jego rodziny.

W książce tej znowu widzimy błyskotliwe pióro zdolnego publicyisty. Inną jednak sprawą jest styl i efektowność myśli a inną ściślej naukowa wartość oraz realne wzbogacenie umysłu czytelnika nowymi wiadomościami.

Na treść tego utworu składa się sto pytań „stawionych bibliotom” oraz sto odpowiedzi „dla ludzi umiejących myśleć własną głową”. Dlaczego akuratnie sto, — nie mniej ani więcej? Czytelnikom może ta cyfra imponować: „aż sto pytań”! — Jeśli jednak uwzględnimy, że te pytania odnoszą się wyłącznie do poszczególnych wersetów, to sto wersetów na całą biblię wydaje się nam jakoś zamało. Zestawienie pytań w pierwszej części

książki a odpowiedzi osobno w drugiej, zamiast żeby każda odpowiedź szła zaraz za swoim pytaniem, nie przyczynia się do przejrzystości. Gorzej wszakże przedstawia się rzecz z porządkiem poruszonych spraw. Pytania te idą po sobie ani ze względu na następstwo ksiąg biblijnych, ani według zodiaku, ani też nie wiążą się z sobą co do treści. Autor nie wyjaśnia, dlaczego je w ten a nie inny sposób uszeregował, czytelnik nie może się domysleć i otrzymuje w rezultacie wrażenie sieczki. W tych stu cytatach — 16 jest wziętych z kilku ksiąg Starego Testamentu, reszta z Nowego; listy jednak apostołskie, z których Pawłowe przedstawiają najdawniejszą część pism Nowego Testamentu, są zgoła pominięte. A przecież niegdyś Niemojewski („Bóg-Jezus”) podkreślał, że znaczenie ich dla zrozumienia dziejów początkowych chrystyanizmu jest większe, niż ewangelji.

Główną swą tezę wyraża autor jak następuje: „Wszystkie te twierdzenia, określenia i opisy są astralizowane, słowem: pojęcia ziemskie są wyrażane za pomocą kategorii astralnych. Jest to właśnie cechą znamioną stylu pisarskiego Biblii, jako stylu sakralnego. Styl ten odnajdujemy już w eposie babilońskim Gilgamesz”, — Str. 45.

W istocie wpływ pojęć astralnych na biblię jest ogromny. Fakt ten wskazuje coraz szersze uznanie w kołach krytyków biblijnych. Czy jednak **wszystko** w księgach świętych można tłumaczyć astralnie? Sam autor modyfikuje następnie swoje stanowisko. „W ciągu moich badań nad tym zagadnieniem ulegałem wahaniom. Zrazu przechylałem się w stronę szkoły mitologiczno-astralnej (która chciała widzieć we wszystkim mity astralne), lecz z wolna przekonałem się, że między szkołą historyczną a szkołą mitologiczno-astralną trzeba wybrać drogę pośrednią: zdarzenia, pomyślane jako ziemskie, przedstawiano w kategoriach astralnych. Przecież historyczność Jerozolimy i Rzymu jest pewnikiem, a jednak opisywano je, jak gdyby były pojęciami astralnymi”. Niestety, w książce nie widać nigdzie najmniejszego usiłowania ustalenia stosunku faktów dziejowych do astrologicznych. Dlaczegoż to jednak Niemojewski podlegał w poglądach swoich takim wahaniom — od reanizmu do astrologizmu, od astrologizmu do czegoś pośredniego? Dlaczego potępił stanowisko, jakie zajął w „Legendach”, aby tak samo następnie uznać za nieuzasadnione swoje stanowisko w „Bogu-Jezusie”? Odpowiedź nie jest trudna. Niemojewski nigdy nie starał się o skonstruowanie organicznej całości twierdzeń ani o ich staranne ugruntowanie; zastępowała mu to błyskotliwość myśli. Objaw ten wiąże się niewątpliwie z jego załamaniem się jako wolnomysliciela. Podobny rys mamy również w omawianej książce. Najdrobniejsza analogja lub nawet jej domniemanie — między danym wersem a zjawiskami niebieskimi ma być już

dowodem, że werset jest umyślnie astralizowany. Przykład: Jezus powiada: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą” (Mar. 13, 31) a tutaj spotykamy taki kometarz: Słowa, Logosy widziano w trzech konstelacjach: Wężownika, Perseusza i Psa Wielkiego. Gdy obracamy globus nieba, zawsze nad horyzontem znajdzie się jeden z Logosów. A więc Logosy, czyli Słowa, nie przemijają. Ale inaczej jest z Ziemią i Niebem. Ziemię widziano w gwiazdach Alfa i Beta obecnego gołębia, Niebo zaś widziano w Wieńcu Południowym znajdującym się w nogach Strzelca. Otóż Niebo i Ziemia mogą niknąć razem pod horyzontem, gdy przynajmniej jeden Logos będzie zawsze widział nad horyzontem” (58). Albo: Mateusz opowiada, że do Jana Chrzciciela wychodziła „cała Jerozolima i cała judzka ziemia”, aby słuchać jego kazań. Niemojewski objaśnia to tak: „Jeruzalem i Judea, które chodzą”. „Jeruzalem niebieskie, jak wiemy, ma swój odpowiednik w zodiaku, zaś Lew był znakiem Judy. Tedy razem z ruchem obrotowym nieba chodzą „Jeruzalem i Judea”. Takich rzeczy w książce jest większość. Są obok nich bezsprzecznie uwagi trafne, np. dotyczące się historii Szimszona — słonka, która jest najwybitniej astralną, ale Niemojewski nie zadaje sobie trudu rozbioru całej książki i poprzestaje na rzuceniu kilku zestawień. Byłoby również interesującym zszeregowanie wszystkich motywów astralnych życiorysu Jezusa, lecz tego tutaj nie znajdziemy. Cytując całą masę nazwisk biblistów, autor nie przeprowadza nigdzie porównań i rzeczowych krytyk ich stanowisk. Być może zresztą, że on sam nie uważał tej pracy za gotową do druku, skoro jednak ujrzała już światło dzienne, obowiązkiem sprawozdawcy jest ujawnienie jej słabych stron. A musimy to uczynić tembardziej, że autor bynajmniej nie okazuje wyrozumiałości dla ludzi stojących na innym stanowisku. Mówi lekceważąco o „racjonalistycznej gwarze” (str. 24), o tem, że „kierunek protestancki” (krytyki współczesnej) jest „tak uczenie nienaukowy” (str. 4), że „dotychczasowa egzegeza odstraszała tylko od Biblii ludzi rozumnych” (str. 7). Nie brak przy tem życzliwych zerknięć w stronę katolicyzmu: „Stara zasada katolicka w tym wypadku najzgodniejsza z metodą naukową” (str. 3) „Biblja, ten kamień węgielny, na którym dźwignięto wielki gmach chrześcijaństwa zasługuje do prawdy na miano kamienia filozoficznego” (str. 7).

Jakkolwiek więc autor zapowiada, że „chodzi mu o wywołanie całkowitego pod tym względem przewrotu w nauce”, (str. 7) i apelując do patriotyzmu czytelników, głosi, że takie badania „stworzą biblistykę polską”, (str. 118) praca pozostaje daleko w tyle za dziełami niemieckich uczonych, jak Winckler, Jeremias, Jensen i inni. Odczytanie jej nie pozostanie w każdym razie bez korzyści, gdyż daje ona sporo materiału do roz-

ważań, korzystać tę odniosą jednak tylko ci, którzy zajmują się naukowem badaniem biblii.

Co do strony zewnętrznej, należałoby skorowidz astralizacji uzupełnić wykazem miejsc biblijnych, na które się autor powołuje. Całość wydania zarówno pod względem druku, jak i rycin bardzo staranna!

M. T. Lubecki.

Dalszy ciąg wniosków i rezolucji, uchwalonych na walnym Zjeździe S.W.P. w d. 23 marca 1924 r

II Zjazd S. W. P. uchwała: Każde większe Koło winno wyłonić podkomisję celem prowadzenia systematycznej pracy antyklerykalnej wśród żydów, ewentualnie w języku żydowskim.

II Zjazd Krajowy S. W. P. protestuje imieniem wolnomyślnego ogółu polskiego—przeciw metodzie wynaradawiania i eksterminacji, uprawianej w sposób systematyczny na t. zw. — Kresach oraz w Galicji Wschodniej—przez władze polskie. Wolnomyśliciele polscy podnoszą dziś swój głos zwłaszcza w obronie narodu ukraińskiego w Galicji i na Wołyniu, pozbawionego elementarnych konstytucyjnie zawarowanych praw do szkolnictwa z własnym językiem wykładowym, do swobodnego wypowiedzania swych myśli i przekonań.

Wolnomyśliciele polscy kładą szczególny nacisk na tępienie przez administrację polską wszelkich placówek kulturalno-oświatowych i naukowych, widząc w tem groźny uszczerbek dla rozwoju myśli i nauki.

Dobitnem potwierdzeniem powyższego są dzieje młodzieży ukraińskiej, która miast w naturalny sposób korzystać z dobrodziejstw wiedzy, zmuszona jest czerpać ją w mrokach konspiracyjnego i tropionego przez policję Uniwersytetu we Lwowie.

Zdając sobie sprawę, że uniwersytet z narodowym językiem wykładowym jest elementarnym programem tej młodzieży — Wolnomyśliciele polscy stają wraz z lepszą częścią społeczeństwa polskiego w obronie tego prawa.

Zważywszy, że pewne ugrupowania polityczne młodzieży forsują na terenie akademickich instytucji samopomocowych uchwały usuwające z grona członków tych instytucji żydów i bezwyznaniowców pochodzenia żydowskiego,

Zjazd S. W. P. stwierdza z ubolewaniem, że uchwały te są

przejawem jaskrawego rozpasania nacjonalizmu i nienawiści wyznaniowej, której niestety poddaje się dziś jeszcze znaczna część młodzieży polskiej i żydowskiej.

Zjazd protestuje przeciw tym oburzającym uchwałom, wyrażając zarazem głębokie swe przekonanie, że niedaleki już czas, gdy większość młodzieży polskiej, pomna tradycji poprzednich pokoleń, stanie znów w pierwszych szeregach wolnomyślicielstwa.

Wychodząc z założenia, że poglądy i instytucje religijne, jako wytwór dziejowy walk klasowych, służyły i służą za narzędzie do utrzymania w zależności mas pracujących, S. W. P., które dąży do całkowitego wyzwolenia człowieka, uważa za jedno ze swoich głównych zadań walkę z temi poglądami i instytucjami.

Walką tę prowadzi S. W. P. wszystkimi drogami legalnymi: wydaje książki, broszury i czasopisma, organizuje odczyty, zebrania dyskusyjne, wiece i t. d.

S. W. P. zdaje sobie sprawę, że głównym terenem jego działalności winny być masy pracujące wsi i miast i dlatego dokłada wszelkich starań, aby pracować w najściślejszym porozumieniu z klasowymi organizacjami robotniczymi, (ze związkami zawodowymi, kooperatywami i organizacjami oświatowymi).

S. W. P. nie wymaga od swych członków żadnego dla wszystkich obowiązującego wyznania wiary, poglądów filozoficznych lub polityczno-społecznych. Członkom swym S. W. P. pozostawia nieograniczoną swobodę rozumowania i założeń filozoficznych, wymaga jednak, aby zarówno w swem życiu prywatnem jak i społecznem dawali jawne świadectwo poglądom wolnomyślnym t. j. aby przeciwstawili się wszelkiemu uciskowi i prześladowaniu za przekonania religijne lub polityczne, aby przeciwstawili się prześladowaniom czy upośledzeniu mniejszości narodowych i organizacji robotniczych i aby zwalczali wpływy kapłaństwa zarówno rzymsko-katolickiego, jak i protestanckiego, żydowskiego i t. p.

Zmiana § 35 statutu.

II Walne Zgromadzenie (Zjazd) delegatów S. W. P. w dniu 23 marca w obecności (2/3) 36 delegatów na liczbę zarejestrowanych 54 delegatów uchwala zmianę § 35 statutu S. W. P. w brzmieniu następującym:

§ 35. Wrazie zamknięcia Stowarzyszenia lub gdyby z jakichkolwiek-bądź powodów o użyciu majątku S. W. P. Zjazd

nie mógł zdecydować, wówczas majątek rozwiązanego Stowarzyszenia przechodzi na przewodniczącego, sekretarza i skarbnika Zarządu S. W. P., którzy administrują nim aż do czasu powstania nowego Stowarzyszenia o podobnych tendencjach, któremu administrujący mogą przekazać majątek zamkniętego Stowarzyszenia.

Wrazie, gdyby w ciągu trzech lat nie powstało Stowarzyszenie, które administrujący majątkiem przewodniczący, sekretarz i skarbnik uznaliby za odpowiednie co do swych celów — wówczas majątek przechodzi na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Naukowego.

Odpisy tych wniosków i rezolucji otrzymaliśmy dopiero niedawno i dlatego umieszczamy je z opóźnieniem.

Redakcja.

List pasterski biskupów czeskich.

„Osservatore Romano”, organ Watykanu, z dnia 10 maja r. b. podaje sprawozdanie o liście pasterskim episkopatu czesko-słowackiego. List episkopatu ujęty jest w formę zaczepną wobec ojczystego, demokratycznego rządu. Biskupi nie powołują się na żadne prawa narodowe czy międzynarodowe, tem mniej na zasady etyczne. Oni za podstawę swych uroszczeń biorą encykliki Leona XIII („Immortale Dei” i „Libertas”). To też episkopat twierdzi, że **obowiązkiem państwa jest popieranie prawdziwej religii i zwalczanie herezji oraz, że państwo nie może być neutralnem i traktować jednakowo prawdziwą wiarę i różne sekty.**

Potępiwszy w ten sposób ideę państwa, hołdującego zasadom laicyzacji, episkopat oświadcza, że już w najgorszym razie Kościół powinien mieć zapewnioną swobodę katechizacji, posiadania i administrowania swemi dobrami. Przez „swobodę” katechizacji rozumie się oczywiście utrzymanie szkoły wyznaniowej pod opieką duchowieństwa, — a przez „swobodę” posiadania i administrowania usunięcie się od obciążku reformy rolnej a może i płacenia podatków.

Należy tu zaznaczyć, że odkąd w Czechach zabrakło międzynarodowce papieskiej poparcia jezuickiego rządu austriackiego, antyrzymski ruch wyzwoleniczy rozwinął się z niebywałą potęgą. Powstała przedewszystkiem niezależna cerkiew czesko-słowacka, która liczy ponad milion zwolenników. Równo-

częście starodawna „Braterska Jednota” husycka, przewyższyła liczbę 600 tysięcy. Oprócz tego szerzą się różne sekty a wiele dziesiątków tysięcy obywateli czeskich podało się za bezwyznaniowców.

Z pozostających formalnie w łonie obumierającego kościoła znaczna ilość jest zupełnie obojętna pod względem religijnym. Wobec tych objawów rząd czeski zajął jedynie dopuszczalne w świecie kulturalnym stanowisko, t. j. przestrzegania zupełnej tolerancji. Tem właśnie tłumaczy się rozpaczliwy alarm biskupów czeskich. Sam „Osservatore Romano” przyznaje, że katolików jest w Czechosłowacji tylko 70 procent, stronnictwo zaś katolickie wybrało na ogólną liczbę 300 posłów — zaledwie 27 przedstawicieli, z których część jest w dodatku pod względem prawowierności podejrzaną.

Protesty biskupów — nas nie niepokoją. Naród czeski jest już na tyle dojrzały, że da sobie z nimi radę.

Omawiany list jest jednak jeszcze raz nowym dowodem, że pomiędzy umysłowością człowieka nowożytnego a średnio-wieczną umysłowością rzymską porozumienia być nie może.

Nie protestuje episkopat nigdy, kiedy na wojnie przelewają się strumienie krwi, kiedy nad bezbronnymi więźniami dokonują się orgie znęcań, kiedy elementarne prawa człowieka są deptane nogami... Protestuje natomiast tam, gdzie jakieś państwo chce wprowadzić w życie zasady sprawiedliwości. Episkopat nie zna sumienia, zna tylko swój nigdy nienasycony interes.

M. T. L.

ZE SPRAW BIEŻĄCYCH.

W tramwajach warszawskich można było niedawno czytać następujące ogłoszenie (podkreślenia nasze):

„Wydział Oświaty i Kultury Magistratu Miasta Warszawy
Uroczysty koncert-poranek
Święto dzwonów

ku uczczeniu dzwonów powracających obecnie z Rosji odbędzie się w sali teatru praskiego 8 maja o godz. 12 w poł.”

Tu następuje program.

„Dalszym ciągiem uroczystości będzie pochód do kościoła Najświętszej Panny Marji Loretańskiej dla złożenia hołdu dzwonom tam przechowywanym”.

Podajemy brzmienie tego afisza, aby nie zginął on w pamięci ludzkiej. Przecież sprawa ta nie dzieje się w Afryce środkowej i nie chodzi tu o jakieś kameruńskie fetysze, ale wła-

śnie aranżuje ją magistrat stolicy leżącej w centrum Europy i to jeszcze jego wydział oświaty i kultury!!

Wydział ten zasłużył sobie rzetelnie na wdzięczność kościoła katolickiego, nie tylko przez prowadzenie ludzisków do kościoła Matki Boskiej Loretańskiej, lecz jeszcze więcej przez wynalezienie nowego święta, — święta dzwonów!

Już to papież winien stanowczo wziąć projekt ten pod rozwagę, tembardziej, że dzwony te niezwykle: nie poprostu przywiezione, ale **powracające**. A może to nowy cud?

W dniach 24, 25 i 26 kwietnia odbył się ogólnopolski zjazd polonistów w Warszawie. Jakkolwiek były na nim wygłoszone niektóre referaty mogące stanowić bodziec do pracy nad rozwojem szkolnictwa, poziom jego na ogół był niezbyt wysoki. Zebrane nauczycielstwo nie okazało zgody zrozumienia dla reform pedagogicznych, przedsięwziętych przez Ministerstwo Oświaty, a polegających na dokładnem odczytywaniu i rozbiorze autorów w klasie a nie na narzucaniu młodocianym umysłom ogólnikowych wiadomości o danych pisarzach bez zaznajomienia się z ich utworami. Z tem wiąże się ograniczenie przerabianego materiału a zwłaszcza jego strony biograficzno-historycznej. Nauczycielstwo najwyraźniej nie dorosło jeszcze do programu Ministerstwa, instytucji zresztą dość dalekiej od prawdziwej twórczości, — i powzięło uchwały dwuznaczne i niezdecydowane. Uwieńczeniem zjazdu jednakowoż była dopiero rezolucja, uchwalona prawie wszystkimi głosami obecnych. Składa się ona aż z 6 punktów, z których 3 pierwsze są mało mówiące i dlatego przytaczamy odrazu dalsze:

4) Zjazd uważa tak wszelkie **utwory**, jak i sposoby nauczania, **któreby pogłębiały separatyzm, za szkodliwe ze względów państwowych.**

5) Zjazd uważa za konieczne ze względów wychowawczych **roztoczenie opieki nad lekturą domową.**

6) Języka polskiego mogą uczyć jedynie ci obywatele polscy, którzy nietylko zewnętrznie opanowali przedmiot, lecz którzy nadto **dają rękojmię, że potrafią sprostać ideowym wartościom programu nauczania języka polskiego.** (Podkreślenia nasze).

Dodajmy, że powyższe sformułowanie jest już znacznie złagodzone (!), gdyż na sekcji językowej pojawiały się głosy domagające się bez ogródek, aby z posad polonistycznych usunąć wszystkich niepolaków i niechrześcijan! Rozumiemy najzupełniej, że rezolucja ta na politykę Rządu gorszą czy lepszą od wyrażonych przez nauczycieli życzeń, zgoda nie wpłynie i pozostanie postulatem papierowym. Obchodzi nas tu jednak poziom

kulturalny „kwiatu“ naszej inteligencji, wychowawców młodego pokolenia, wielbiących metody nie ustępujące w niczem carskim i pruskim. Wiemy, że nie jest to opinia całego nauczycielstwa polskiego, w każdym razie zjazdu pod względem liczebnym lekceważyć sobie nie można. Czy uczestnicy jego uświadamiają sobie, że taką uchwałą depczą zasady koleżeństwa wobec nauczycieli „z mniejszości“ a co ważniejsza nienaruszalne prawo człowieka do wolności i przekonań, — tamsamem postawili sami siebie pod pręgierz moralny? Nie, nic podobnego nie przeszło im pewnie przez myśl... i to jest właśnie przytłaczające!

Kilkakrotnie już pisaliśmy o metodzie płacznego narzekania, stosowanej przez naszych chłopów w odpowiedzi na wołające o pomstę do nieba czyny despotów w sutannach. Do tego bukietu łzawych rozmazgają się dorzucamy dziś jeszcze jeden kwiatek. Oto „Chłopski Sztandar“ zamieszcza w Nr. 20 długi list, w którym anonimowi „Interesowani“ skarżą się boleściwie, że we wsi Kozy, w pow. Białskim (Małopolska), ksiądz proboszcz (nawet nie wymieniony z nazwiska!) znęca się nad trupem trzyletniego dziecka, którego nie pozwolił pochować na rzymskim cmentarzu, bo rodzice jego podczas pobytu w Ameryce przeszli do innego chrześcijańskiego wyznania. A gdy już dziecko heretyków, „święcie wierzących w Jedyne Boga Stwórcę wszechświata i Zbawcę Jezusa Chrystusa“, jak zapewniają niepodpisani autorzy listu, spoczęło w niepoświęconej ziemi, na prywatnym ogrodzonym gruncie, jakieś ciemne indywidua, „podburzone przez rzymskiego fanatyka, wyważyły wrota i wbiły długą żelazną zawiasę w grobek spoczywającego tam niewinnego dziecięcia“.

Prawie przez trzy szpalty ciągnie się to patetyczne opowiadanie, przetykane ciągłymi przypomnieniami, że dzieciak, jako urodzony w Ameryce, był amerykańskim obywatelem, jakgdyby chłopci polscy uważali, że z polskim dzieckiem wolno by było księdzu robić, co mu się podoba; potem jest litanja błagań pod adresem posłów i senatorów, aby się tą sprawą zajęli, wreszcie apostrofa do samego księcia biskupa Sapiehy, aby „jako szlachcic z dziada pradziada“ (!!!) nakłonił swego podwładnego do bardziej ludzkiego postępowania; a na samym końcu redakcja „Chłopskiego Sztandaru“, wzruszona widocznie tymi lamentami, interpeluje p.p. Ministrów Spraw Zagranicznych i Wewnętrznych, jak się ci panowie zapatrują na poniewieranie przez niepoczytalnego fanatyka zwłokami obywatela Stanów Zjednoczonych A. P. (Znów ten „obywatel“ — czy

o dziecko polskiego obywatela redakcja Chł. Szt. nie odważyłaby się interpelować p.p. Ministrów?).

Ciekawa rzecz, czy to w Ameryce rodzice owego nie-szczęsnego dziecka nauczyli się łzami odpowiadać na takie barbarzyńskie znęcanie się nad sobą? Wątpię — chyba, że należą do jednych z tych sekt, co to pozbawiają ludzi wszelkiej energii czynu, pozostawiając wymiar sprawiedliwości Panu Bogu. Ale w takim razie poco narzekać na księdza? Wszak i on podziela to zdanie, uważając tylko, że jako zastępca Boga, czyni sprawiedliwość w jego imieniu.

Po przeczytaniu całego tego artykułu, wraz z dodatkiem redakcyjnym, pozostało nam tylko wrażenie niesmaku. I przypomniał nam się kiedyś czytany wiersz:

Próchno ma w piersiach — i takiemu biada,
Co na obelgi jękiem odpowiada!

(J. Krajewski — Odrodzenie).

W związku z pomieszczoną w zeszłym numerze „Myśli Wolnej“ notatką o wezwaniu do walki z klerykalizmem żydowskim, ogłoszonym przez „Trybunę Akademię“ nadsyła nam ob. Jerzy Glücksman, autor owego wezwania, wyjaśnienie, że artykuł jego pomieszczony był w dziale „Wolna Trybuna“, który jest poświęcony specjalnie dyskusjom, i wyrażał poglądy nie redakcji pisma, lecz osobiste autora i kolegów jego, którzy grupują się w „Akademię Kół Grosserowskich — Ogniwo“, związanym ideowo z „Bundem“.

Wobec tego, jak stwierdza ob. Glücksman, niesłusznie wyraziła „Myśl Wolna“ obawę, by zaślepienie narodowościowe nie przeszkodziło akademikom w tej walce z klerykalizmem żydowskim.

Chętnie umieszczamy to wyjaśnienie i raz jeszcze życzymy młodzieży owocnej pracy na tym polu.

Zdaje się, że najcięższą walką polityczną jest — nie prowadzić walki politycznej. Po stuletniej niewoli, podczas której życie polityczne prawie zamarło w Polsce, głównie w b. zaborze rosyjskim, zbudzeni znów do życia — rozpolitykowaliśmy się tak, że ta pasja przeszła u nas już w manję.

Człowiek bez określonej fizjonomji partyjnej nie jest wogóle człowiekiem; a przede wszystkim — nie mogą ludzie uwierzyć, że ktoś naprawdę nie należy do żadnej partji politycznej.

Przy zakładaniu Stow. Wolnomysłicieli Polskich dążyliśmy do tego, by zgrupować ludzi, niezależnie od ich przynależności partyjnej, dla wspólnej walki o najwyższe prawo i najwyższe dobro człowieka: wolność sumienia i wolność przekonań. W dużej mierze udało nam się to, i pismo nasze prowadzimy po tej samej linii, starannie unikając wszelkiego zacietrzewienia partyjnego i trzymając się zdala od narzuconych zgóry programów tego lub innego autoramentu.

To nie jest „bezbarwność“, ponieważ każdy pojedynczy członek S. W. P. może nosić barwę, jaką sobie wybierze, i należeć do ugrupowania politycznego, jakie mu najwyżej odpowiada. To jest — zrzeknięcie się walki politycznej **na tym terenie** dla tem intensywniejszej wspólnej pracy, dążącej do osiągnięcia wspólnego celu.

Ale to właśnie nie podoba się i naszym przeciwnikom ideowym i nawet poczęści naszym zwolennikom, zwłaszcza tym, których walka polityczna tak zaślepiła, że poza nią już nic nie widzą.

Więc np. ludowo-narodowa demokracja (ładna demokracja!) bezustannie strzela do nas z dział ciężkiego kalibru, mianując nas komunistami czy bolszewikami, i wzywa Pana Boga i policji państwowej (te dwa pojęcia muszą być zbliżone do siebie...) aby ukrócić naszą szatańską działalność. Tak oto czyniła „Gazeta Warszawska“, tak czyni też i jej duchowy małżonek „Dziennik Wileński“, który w Nr. 77 z dnia 3 kwietnia r. b. rozpisał się o nas w długim, bardzo długim artykule, stwierdzając z całą stanowczością, że jesteśmy bardziej zbolszewiczali od najgorszych bolszewików, gdyż bolszewicy rujnują tylko fabryki i kamienice, a my rujnujemy ducha narodu. I — oczywiście — apel do rządu, aby pismo nasze zamknęto, i nas też.

A z drugiej znów strony redakcja „Nowej Kultury“ przez kilka tygodni z rządu pomieszczała artykuły, piętnujące nas, jako skończonych „burżujów“, pomyłonych inteligentów, nie wiedzących, czego chcą i do czego dążą (może to tylko autor artykułów nie wiedział?) Nawet w „odpowiedziach redakcji“ kilka razy uświadamiano ciekawych czytelników, że „Myśl Wolna“ jest pismem „burżuazyjnym“ (słyszysz, Gazeto Warszawska?) i że uświadamieni robotnicy nic z nią wspólnego nie mają (rozumiesz, Dzienniku Wileński?).

Na szczęście nie przejmujemy się zbyt krytykami naszych przyjaciół i wrogów. Nazwa „bolszewik“ w ustach demokracji dziwnego nabożeństwa nie przeraża nas; dla nich bolszewikiem jest i pepesowiec, i wyzwoleniec, i każdy żyd nie-kapitalista, i tajemniczy mason, którego nikt nie widział, i ukraińiec, żądający szkoły narodowej, i każdy sekciarz, pragnący chwalić swego boga na swój sposób, i każdy robotnik, walczący

o prawo do lepszego życia, i każdy chłop, pragnący odebrać ziemię obszarnikowi lub księdzu — słowem mniej więcej jakies 99% ludności Państwa Polskiego. A w takim tłumie i wolnomysliciel nienajgorzej się będzie czuł, pozostawiając lu-endekom towarzystwo wielkich kapitalistów, chrześcijańskich sklepikarzy, aferzystów politycznych, zwarjowanych dewotek i durniów, prowadzonych na pasku księżo-pańskim.

A i nazwa „burżuj” w ustach redaktorów „Nowej Kultury” też nas nie przeraża; dla nich burżujem jest i pepesowiec, i wyzwoleniec, i każdy kapitalista, i profesor uniwersytetu, i każdy inteligent, i każdy robotnik, walczący pod innym sztandarem, i ukraińiec, walczący o swoją szkołę narodową (bo narodowiec!) i każdy sekciarz, pragnący chwalić swego boga na swój sposób (bo „poszukiwacz boga”!) i tajemniczy mason, którego nikt nie widział, — słowem mniej więcej jakies 99% ludności Państwa Polskiego. A w takim tłumie i wolnomysliciel nienajgorzej będzie się czuł, pozostawiając redaktorom „Nowej Kultury” wyłączne towarzystwo ich przyjaciół partyjnych.

Od kilku miesięcy cała liberalna Europa Zachodnia grzmi oburzeniem na Hiszpanję, a właściwie na obecny sołdacko-suttanniany jej rząd. Nie przebrzmiała jeszcze sprawa jednego „przestępcy politycznego” skazanego bezprawnie na śmierć, od której go ocalił krzyk grozy całego świata kulturalnego, a pan dyktator już znów porusza opinię publiczną czynem mniej może krwawym, ale niemniej dzikim.

W mieście Salamance rektorem uniwersytetu był słynny w Hiszpanji i poza jej granicami profesor Miguel de Unamuno, poeta i uczonej jednocześnie, były wychowawiec seminarjum, który zrzucił sukienkę, by jać się twórczej pracy. Unamuno nie był rewolucjonistą, był chrześcijaninem głęboko wierzącym, czcicielem św. Teresy i nawet Ignacego Loyoli, ale był antyklerykalistą i występował otwarcie przeciwko uzurpowaniu sobie przez kościół rzymski praw boskich; był też republikaninem; słowem — mistyk chrześcijański, ale pełen szczerej wiary i prawdziwej uczciwości.

Szanowali go wszyscy, od zajadłych monarchistów do najczerwieńszych rewrotowców, za jego szczerość, odwagę przekonań i czystość myśli. Ale nie uszanowała go kamarylla generalsko-biskupia, która dziś włada szlachetnym krajem Don Kichota; wytoczono mu proces o „obrazę majestatu” i skazano na 16 lat więzienia; a gdy otrzymał „ułaskawienie”, pan dyktator nagle bez sądu, „administratiwnym poriadkom”, zesłał go na jedną z wysp Kanaryjskich!

Unamuno nie jest wolnomyslicielem w ścisłym tego słowa znaczeniu: jest nie tylko człowiekiem wierzącym, nie tylko człowiekiem religijnym, ale nawet wyznaniowo jest chrześcijaninem — gorącym, przekonany, często nawet dogmatycznym. Ale przede wszystkim — jest człowiekiem bezwzględnie dobrej wiary, gorącym bojownikiem za wolność uciemżonych ludów, kochanym i cenionym przez swych współobywateli; jako prezes Ligi praw człowieka — odważnie występował przeciwko niesłychanym nadużyciom kleru i soldateski w swej ojczyźnie — i to go zgubiło.

Czyż może podobnego człowieka tolerować faszystowski rząd państwa, którego najwyższy przedstawiciel nie zawahał się niedawno klęknąć przed „majestatem następcy Chrystusa na ziemi”, ucałować jego pantofel i ofiarować mu siebie i cały kraj swój?

W Salamance wieść o banicji rektora wywołała silne protesty i nawet zaburzenia uliczne. Ale cóż to znaczy dla kropi-dła, ożenionego ze szablą? Parę dymisji, kilka trupów na ulicach, trochę aresztowań i... spokój panuje w Salamance!

Don Miguel de Unamuno powiedział kiedyś: „Nie wiara tworzy męczenników, ale męczennicy tworzą wiarę”. Warto było, aby tę myśl przyswoili sobie wszyscy dyktatorzy, pragnący represjami zdusić każdy przejaw wolnej myśli, zaoszczędziłoby im to wielu przykrości w życiu. Ale podobno charakterystyczną cechą wszelkich dyktatorów jest to, że trzęsienie ziemi odczuwają dopiero wtedy, kiedy już trony ich lecą w przepaść...

We Francji grono ludzi dobrej woli, o znanych w całym świecie nazwiskach, wydało protest przeciw stosowanemu, według nich, w Polsce „białemu terrorowi”. Prasa nasza zareagowała na ten protest rozmaicie: niektóre pisma twierdzą, że to jest „mieszanie się do spraw wewnętrznych Polski”; inne wołają, że to jest dzieło wrogów Polski, żydów, masonów i wogóle mniejszości narodowych; inne jeszcze stwierdzają, że we Francji traktują więźniów jeszcze gorzej, niż w Polsce.

Niemniej większość pism przyznaje, że protestu takiego nie można sobie lekceważyć, i nawołuje rząd do zbadania warunków życia więźniów. Podobno nawet komisja sejmowa do tych spraw, wyznaczona jeszcze w lutym, obudziła się z drzemki i zabrała się do roboty.

Jesteśmy pełni szacunku i poważania dla naszej prasy i rozumiemy jej zakłopotanie i chęć złagodzenia wrażenia, jakie ów protest wywołał w Europie.

Ale jednej rzeczy nie możemy zrozumieć i uprzejmie prosimy o wyjaśnienie:

Czy „biały terror” polega na złym traktowaniu więźniów, już osadzonych w tych domach poprawczych, czy też na osadzaniu ich w owym przytułku bez dostatecznych powodów?

Czy intelektualści francuscy protestowali tylko przeciwko nieodpowiedniemu obchodzeniu się z więźniami politycznymi, czy też i przeciwko załadnieniu więzień, praktykowanemu z tak rozbijającą, naiwną łatwością?

Czy wreszcie, zamiast jeszcze jednej komisji do sprawdzania stanu więziennictwa, nie lepiej byłoby wyłonić komisję, któraby się zajęła zbadaniem, kto i za co u nas wsadza do więzienia?

Możeby się wtedy okazało, że nietyle więzienie jest złe, ile wogóle nie tak znów bardzo potrzebne!

Jako ilustrację do powyższych rozważań, zacytujemy podług „Wolnego Chrześcijanina” następujący wyrok:

„Sąd pokoju w Beresteczku (na Wołyniu) dnia 6 marca r.b. na podstawie art. 379 Kod. Kar. i na podstawie art. 119 i 133 U. P. K. skazał: mieszkańca wsi Piaski, gminy Beresteckiej, Józefa Borysowa, mieszkańców wsi Kutrowa, Jana Hrynczuka, Józefa Hrycynę i Tryfona Korostyskiego, oraz mieszkańca wsi Dzikowiny, gminy Beresteckiej, Marka Hrynczuka, na zapłaceniu grzywny po 100 złotych każdy, z zamianą na 6 tygodni aresztu i na zapłaceniu po 10 złotych kosztów sądowych przez każdego. 1, 2, 3 i 4 za to, że w dzień 29 grudnia 1923 roku odbyli bez zezwolenia na to władzy, modlitewne zebranie we wsi Dzikowinach, gm. Beresteckiej, 5 za to, że oddał w wynajęcie lokal dla powyższego zebrania również bez zezwolenia na to wyższej władzy”.

No i cóż, szanowni przedstawiciele prasy polskiej? Czy taki fakt uwięzienia ludzi za to, że się chcieli modlić „po swojemu” bez zezwolenia wyższej władzy, jest aktem „białego terroru”, czy też nim nie jest? I co tu pomoże komisja, która będzie sprawdzała, czy tych chłopów bito w więzieniu, czy też nie bito?

I powiedzcie, szanowni przedstawiciele opinii publicznej, czy na całym kulturalnym świecie, prócz szlacheckiej Polski i sowieckiej Rosji, podobny fakt mógłby mieć miejsce?

A oto druga ilustracja: w Łodzi został przez sąd doraźny skazany i natychmiast rozstrzelany 19-letni młodzieniec, komunistą, za zabicie prowokatora. To już nawet nie „biały terror”, to jest „czerwony terror”, bo polała się krew ludzka.

Kara śmierci — dla nieletniego — w czasie niewojennym — za zabójstwo polityczne!

Czyż taki fakt mógłby mieć miejsce gdziekolwiek bądź w ucywilizowanym świecie, prócz szlacheckiej Polski i sowieckiej Rosji?

Powiecie, szanowni dziennikarze, że komuniści w Rosji taksamo postępują ze swoimi kontr-rewolucjonistami, że zatem i my mamy prawo, broniąc swego porządku społecznego, zabijać komunistów.

Nie będziemy się z wami sprzeczać co do motywów, bo będą to próżne słowa; ale w takim razie nie wolno wam protestować, gdy kulturalna Europa czyni Polsce zarzut uprawiania białego terroru. Trzeba być konsekwentnym i ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Sowiecka Rosja nie wypiera się swoich morderstw politycznych i nie zaprzecza, gdy Europa woła, że dzieją się tam niesłychane zbrodnie.

Ale my mamy się za ludzi kulturalnych i drapujemy się w togi senatorów rzymskich. Skąd więc do nas taki kodeks? W ten sposób, gdybyśmy schwytali w Polsce jakiegoś papuasa, który u siebie w domu usmażył i zjadł polskiego podróżnika, powinniśmy byli również upiec go i spożyć w imię świętego hasła biblijnego: „oko za oko i ząb za ząb“!

Z powodu braku miejsca Redakcja odkłada „Odpowiedzi“ do następnego numeru.

Na rachunek prenumeraty kwartalnej przyjmuje się Zł. 1.35. — Cena numeru Zł. 0.45 — Prenumeratorzy nowi, lub ci, którzy nie wpłacili dotychczas zaliczki, płacą za wszystkie dotychczasowe numery po Zł. 0.45. — Prenumerata za granicą o 100% drożej, w Stanach Zjednoczonych — 2 dolary rocznie.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 4470.

Redakcja: Warszawa, Poznańska 14 m. 19. tel. 126-55.

Administracja: Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14.

Redakcja czynna w soboty od 5 — 7 wiecz.

Administracja — codziennie od 9—4 w poniedziałki i czwartki — do 7 wiecz. w soboty od 9 do 1-ej.

Redaktor: JÓZEF LANDAU.

Wydawca i redaktor odpow. w imieniu Stow. Wolnom. Polskich D. JABŁOŃSKI

Administracja posiada na składzie następujące dzieła:

Ignacy Radliński: Na przełomie dziejowym	Zł. 1.50
— Spinoza	„ 3.—
— Dzieje 3-ch osób w jednym Bogu	„ 3.—
Antoni Szech: Katolicyzm a polskość	„ —.60
— Być albo nie być	„ —.30
J. Baudouin de Courtenay: W „Kwestji żydowskiej”	„ —.75
— Tolerancja. Równouprawienie	„ —.50
— Kwestja żydowska w Państwie Polskiem	„ —.80
Romuald Minkiewicz: „Lucjan”, dramat współczesny i przyszłych pokoleń (5 aktów i prolog)	„ 2.—
— „Królewna Morza”, baśń dramatyczna w 4 aktach	„ 1.60
— „Nad morzem mojem”, księga tęsknoty (poezje)	„ 2.40
— Listy miłosne i pieśni	„ 3.—
— „Tryumf”, scherzo w 4-ch aktach	„ 1.80
Józef Krajewski: Pod pieczęcią milczenia	„ —.60
Józef Landau: Szkice przeciwyznaniowe	„ 1.—
Jan Hempel: Ewangelje, ich powstanie i znaczenie	„ —.50
— Dziesięcioro Przykazań Boskich	„ —.60
A. Niemojewski: Legendy	„ 3.50
R. Lilientalowa: Precz z barbarzyństwem	„ —.10
„Wiara Twórcza“ Komplet z 4-ch n-ów	„ —.50
Czesław Wrocki: „W imię krzyża”	„ 1.—
Wspólnota Twórczości: „Kalendarz ery Galwaniego”	„ —.30
— „Zasady Wspólnoty Twórczości”	„ —.15

Wysyłka za zaliczeniem pocztowem.

Wszelkie przesyłki polecane i pieniężne prosimy adresować wyłącznie do
Administracji „Myśli Wolnej”, ul. Królewska 16 — Warszawa.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 44-70.

Administracja posiada na składzie w niewielkiej już ilości komplety „My-
śli Wolnej” z roku 1922 prócz Nr. 1 i 2, całkowicie wyczerpanego. Komplet,
złożony z 5 numerów, wysyłamy na żądanie za zaliczeniem pocztowem
w wysokości Zł. 2.25.

Komplet roku 1923 wynosi zł. 4.75.

R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, Warszawa, Chłodna 37, tel. 69-46.